

Bezdroże

Zbyt późno zrozumiałam, jak brak akceptacji ze strony bliskich prowadzi do obłądu. Chociaż wciąż cofam się do wydarzeń sprzed tysięcy dni, mających znaczenie tylko dla niepożegnanych z przeszłością, w ich natłoku nie potrafię wyodrębnić momentu mojego wycofania się przed własną rodziną.

Od początku oplataliśmy swoje grzbiety nitkami, które okazały się rdzewiejącą stalą, nic więcej. Tyle warte są brzytwy skryte w puchu. Matki klękają na poduszkach z cierniami, mężowie okrywają się kłującą pościelą, następnie czeszą drucianą szczotką włosy swoich kochanek, aż wyciągają pojedyncze kosmyki zlepione krwią. Rodzice w objęciach wypruwają swoje żyły, by wydać na świat kolejnego potomka, a babcie dają w prezencie niedźwiedzia wypchanego gwoździami. Doprawdy, nic więcej.

Tej nocy wychodzę ze spotkania pokoleń, ludzi pracujących tak długo, że każde wolne świętują dawką trunków. Tylko nad uczuciami nie mam kontroli i tego się obawiam. Nikt nie usłyszy, jak spływają za mną schodami na klatce ani nie zauważy, że nagle odciążyły atmosferę. Podążam za pociągającą lekkością świeżego powietrza.

Być może mam w sobie coś z romantyków sprzed wieków. Za najpiękniejsze uważam godziny, w których tłum otepiałych ludzi zastępują jedynie ich pozostałości. Pozornie są bezwartościowe. A jednak każde zderzenie z takim strzępkim pobudza do tej pory zastygłe myśli, które umykają szybciej niż się pojawiły. Świadome zatrzymywanie się w skupieniu nic nie daje - czuję obecność strzegących je duchów. To niczym próba zatrzymania filmu na konkretnej sekundzie. Zabawne, jak blisko mnie może leżeć prawda o istnieniu, a ilu wybranych zarzucono bzdury.

Obwiniam się za kroki, niewystarczająco równe i zakłócające doskonałość miasta. Choćby pozorną. Mijając kolejne, zbite przy chodniku budynki, zauważam, że przecież wszystko teraz jest przeinaczone. Beżowe ściany ulegają zaciemnieniu, jaskrawe uderzają tandetą. Nawet kształty kłamią, kiedy zupełnie odstają od wspomnień.

Dlatego ja też mogę być nieprawdziwa. Wakacje pozwoliły spojrzeć z szerszej perspektywy na to, co robię. Okłamuję siebie, że jestem taka sama, okłamuję innych, że się zmieniłam. Nie wiem, jak jest naprawdę. Wystarczy udawać konsekwentnie, aby ostatecznie tym się stać.

Zbliżam się do centrum, a warkot samochodów na skrzyżowaniu staje się jedynym obecnym odgłosem. W końcu przestaję się na nim skupiać, zgadzając się, aby zastąpił mój oddech.

Nikt nie wie o moich uczuciach, wszystkie zasysa beton. Porównuję innych do księżycy – zjawiają się przelotnie i w rzeczywistości są dla mnie obcy. Wciąż myślą mój śmiech z sygnałami bez troski. Mogłabym dobijać się po pomoc niczym owad, bez pamięci rozbijający się o szybę chłodnym wieczorem. Kłamią, że otworzyliby okno – najwyżej spojrzą z politowaniem. Nie przypuszczają, że kiedy przyglądam się kartce zeszytu, w rzeczywistości płaczę. Wewnętrznie, bo już nie odczuwam różnicy. Odchodzę od metody ukazującej słabość, zasalającej policzki, a przyzwyczajam się do przyczyny.

Za dużo czasu spędzam w mojej głowie.

Zatrzymuję się przy przystanku, jak najdalej od reszty oczekujących na ostatni autobus. Ot, nawyk wypracowywany od lat. Odrazą nie pozwala mi nad nim zapanować. Kiedy nie muszę się poruszać, moje myśli, wręcz przeciwnie, jeszcze szybciej galopują. Przez chwilę widzę mężczyznę, który podchodzi, mówi, że mam piękny umysł, a później znika za własną parą z ust. Nie tylko on. Jednak to na jego wizję poruszają się zmarznięte palce.

Boże, jak mi z ciałem. Jestem ślepa co kilka sekund, gdy mrugam. Pijąc gorącą kawę, parzę swój przelyk. Wdycham truciznę z ulicy i czuję, że tak ma być, wyłącznie tak jest poprawnie. Z winy skóry zachłystujemy się młodością, by wreszcie ją znienawidzić. Mówimy o swoich mózgach w trzeciej osobie.

Wolę trzymać się wyobraźni, mimo że nigdy nie udało mi się obronić jej przed bólem. To co innego niż włożenie ciepłej czapki w deszczowy dzień. Toczę walkę z pięczkiem wspomnień, których nie potrafi rozwiać żaden podmuch. Zrozumiałam, że nie pasuję do świata. Boję się podłości, odrzucenia, zła, zwykłego pecha, jakbym sama ani razu nie skrzywdziła. Żal nie przemija zupełnie, może czasem maleje, ale coraz łatwiej się do niego przyzwyczaić.

Najpierw biorę przegubowiec za wyłaniający się pociąg. Wiem, dokąd jedzie; po prostu zajmuję wolne miejsce. Otaczają mnie ludzie ozdabiający plecaki twarzami, których wcale nie znają. Kotami i motylami, które prawdopodobnie już dawno zamieniły się w pył. W milczeniu poddajemy się kołysaniu, odwracając wzrok od cudzych oczu. Czerwona lampka miga za każdym otworzeniem drzwi, rzucając niepokojącą poświatę. Miasto budzi się do swojego przeznaczenia dopiero po zmroku.

Zabawne, ale kiedy jadę, upodabnam się do pumy. To moje środowisko, tak szybko je przemierzam. Obserwuję teatr osobowości, którego kiedyś stałam się lalką. Kobieta biegnąca w mgłę, setki przemyskających sennych kierowców... Nie wiem kogo proszę, aby nie zniknęli. Chcę być częścią tego systemu. Olsztyn ma czarodziejską moc – wkradł się do mojego krwiobiegu i nie przestanie krążyć. Znam jego nocną stronę, a on moją. Dzielimy wspólne tajemnice.

Rzadko obwiniam go za pożeranie małych miejscowości, do tej pory odpoczywających we własnym spokoju. Śródmiejskie ulice same przejmują rytm bicia serca. Liczba latarni maleje z każdym kilometrem. Teraz wpatruję się tylko w światła, liczę w nich drogę do domu. Pamiętam, za którym zwolnimy. Wysłuchuję nazwę końca trasy, jakbym chciała usłyszeć prawdę o sobie, dotykam przycisku STOP, jakbym mogła odczytać odpowiedzi na pytania. A kiedy wyskakuję na chodnik, szukam ich w okolicznych blokach. Moja samotność jest absolutna. Bezruch, zostałam ja.

Osiedle wydaje się być pełne jednego człowieka, ale zdaję sobie sprawę, że tak nie jest. Chciałabym wierzyć, że w tych wszystkich oświetlonych pokojach piszą się ciekawe historie. Krótką trasę do bramy zamieniam w wybieranie tych okien, z których mogłabym zobaczyć rodziny przytulające się w czasie reklam telewizyjnych. Niepowodzenie tłumaczę tym, że wszystko jest fałszem, od początku do końca. Mieszkańcy potężnego ula biorą instynkty za emocje, zatrzymują się na obrzydliwej konsumpcji, a potem próbują każdemu wcisnąć swój nadmiar szczęścia w łatwych do połknięcia tabletkach. Pluję na ich sposoby.

Wiatr się wzmaga. Unosi moje włosy i spiętrza je nad czołem. Z całej siatki nocy tyle już przypadło, zostało zapomnianych. Nie pozwolę, aby kolejna zniknęła wraz z przebłyskami słońca.

Przegania mnie znajomy cień i to on prowadzi w miejsca, o których jedynie on ma pojęcie. Utożsamiam się z ciemnością, częścią wiecznie opuszczonego zła. Spaceruję bliżej dawno zamkniętych, opuszczonych sklepów, niż powinnam. Nie uchylam się przed gałęziami. Wybieram te ścieżki, przy których jest mniej latarni, a gnieździ się unicestwienie, wbrew ludzkiej logice. Podczas buntu, gdzieś w moim rozedgranym środku, cały strach znika.

Uświadamiam sobie, że nie zdarzyło mi się przyjść o późnej godzinie pod drzewo, nie oparłam się o nie wystarczająco, by uchwycić uchem, jak pobiera wodę i nie popatrzyłam w górę na żółte liście. Ile tracą ci wszyscy, którzy ufają jedynie torowi wytyczonemu przez trotuar! Obraz odbiega tak bardzo od najśmielszych wyobrażeń, że już zawsze będę go wspominać. Mam wrażenie, że dusze powoli osuwają mnie na miękką ziemię. Wirują przez kolejne kilka mrugnięć, aż zdecyduję, że wystarczy.

Sekrety otchłani rozbijają się głucho o brzeg świadomości, popychając mnie coraz dalej, za zagubione domy. Przejeżdżający samochód oślepia mnie swoimi reflektorami, na ostrzeżenie. I to ostatni strażnik na mojej drodze. Wraz z jego odjazdem uzmysławiam sobie przesywającą, niezdolnie piszczącą ciszę, zwykle niedostępną dla miastowych. Przede mną brakuje jakiegokolwiek punktu, na którym mogłabym zatrzymać oko. Narzuta bezkresnej czerni, której tak pragnęłam, nagle zaczyna nade mną górować i powoli miażdżyć.

Wycofuję się. Biegnę zaledwie do pierwszych rozbłysków, niosących coś pewnego oraz stabilnego. Zostawiam za sobą złowieszcze plakaty z nadrukowanymi uśmiechami, które jeszcze wczoraj budziły bezmyślną sympatię. Próbuję zignorować dziki szum wysokich topoli. Wielu przerażają, bo ich korony nie dosięgają nasze latarki. Wszystkie wycinają za dnia, skoro tak łatwiej. Zostawiają suche, szydercze pnie. Często zastanawiam się, czy chcieliby być pochowani na wsi czy w mieście.

Nikt nie reaguje na dźwięk domofonu. Wzdycham z ulgą na myśl o pustym mieszkaniu – jeszcze nie wrócili. Bawcie się dalej.

Wrażliwość może być wspaniałą cechą. Po czasie staje się przekleństwem. Dokładnie opuszczam rolety w pokoju, ale wciąż nie potrafię podejść do łóżka. Słyszę szczekanie psa, odgłosy za ścianą i wzdrygam się z niepokoju. Pod kołdrą gryzę się w nadgarstki, byle odegnać myśli i uczucia, które maskuje ciemność. Co z tego? Wewnątrz szarpią się z prętami, nie pozwalają mi zasnąć.

Nocne zmartwienia mają to do siebie, że kolejnego dnia są już nieaktualne. Zatrą się, a ja dostanę rozgrzeszenie. Otrzyma je całe miasto.

Mnemo